OGNISKO DOMOWE

Gazeta dla kobiet.

Bezpłatny dodatek — wychodzi co tydzień.

Rok 1 | CHOJNICE, dnia 28-go grudnia 1924 r. | Nr. 39

Dobre serduszko Hani.

Za wsią, na polu, między laskiem a cmentarzem, stoi chałupka stara jakby przyrosła do ziemi z dachem pochylonym ku przodowi, jakby się modliła ukląkłszy. W jedynej izbie, leży chora matka na ubogiem łóżku, a w kącie córka jej Hania 10 letnia dziewczynka owija w gałgany nogi, bo na dworze zimno, a ona wybiera się do miasta oddalonego o 4 klm. od ich wsi.

Skończywszy sięgnęła ręką po zawiniątko przygotowane, uważając żeby matka nie widziała, gdy ta odezwała się: Haniu, może lepiej poczekać do jutra, bo to już i noc się zbliża, gotowaś zabłądzić w lesie. Może Pan Bóg pozwoli doczekać ranka. Lecz Hania, ukrywszy starannie przed okiem chorej matki, zawiniątko, odpowiedziała: Nie, matusiu kochana, już lepiej teraz pójdę. bo do rana może wam się pogorszyć, a ja drogę znam, więc nie zbłądzę i za dwie godziny będziecie mieli lekarstwo. Ucałowała ręce matki chorej i wyszła. Była to już zima — wprawdzie lis opad kończył się dopiero, ale biało wszędzie i mroźno. Hania przyspieszyła kroku, bo zmarzła. Cóż — u nich bieda wielka — dziś wcale nie palono ogniska, a od tygodnia, chleba nie skosztowały nawet z mamą. Tato w Ameryce już 7 lat — ona go sobie wcale nie przypomina, bo zostawił ją malutką. Dawniej zawsze parę dolarów przysyłał, ale że mieli we wsi długi, więc je matusia spłacała — a teraz już rok minął, jak ostatni raz posłał dwa dolary i nic. Może umarł. Żeby choć matusia zdrowa była — przed dwoma tygodniami prała bieliznę w potoku, nie swoją ale bogaczki kołodziejowej i jak wróciła, dostała dreszczów i gorączki w nocy i tak do dziś, raz lepiej, raz gorzej. A w chałupie ani grosza. I sprzedać nie ma co, bo ta stara chałupka i kawałek ogrodu za nią, to ich cały majątek. Odkąd pamięć Hani sięga, tak zawsze bywało — i głodno i chłodno! Smutne dzieciństwo jej było! Teraz uważa się ona za dziewuchę — już i na pańskie pole buraki plewić chodziła i właśnie te trzewiki, co niesie w zawiniątku, kupiła jej matusia za zarobione pieniędze. Te buciki, tak upragnione mocno, takie same, jak ma Kasia bogaczki kołodziejowej. I dlatego tak ich jej żal było, że przed trzema dniami, choć już była przygotowała na sprzedaż, nie mogąc się z niemi rozstać rozwinęła, pogłaskała i postawiła znowu na stołeczku, czekając zmiłowania Bożego. A tymczasem matce pogorszyło się, więc dzisiaj postanowiła sprzedać trzewiki, aby za otrzymane za nie pieniądze kupić lekarstwo, Co tam trzewiki znaczą jak matusia chora? Niech no Hania trochę jeszcze podrośnie, to zarobi na wszystko i na życie i na przyodziewek, że się z matusią wystroją na niedzielę jak kołodziejowa ze swoją Kasią. Żeby choć żyd karczmarz kupił i matusi nic nie powiedział, bo ona by nie pozwoliła. Ale Hania go poprosi oto. Tuż, pod lasem stała karczma, do której weszła Hania. W izbie dużej i brudnej siedział za szynkfasem żyd rudy i prócz niego nie było nikogo więcej. Hania, rozwinąwszy zawiniątko, pokazała mu trzewiki z zapytaniem: Moszku, może kupicie te trzewiki? Żyd wziął do ręki, oglądnął i patrząc podejrzliwie na dziewczynkę odpowiedział: ny, ja ich kupię, ale powiedz mi, gdzie ty ich ukradła? Hania obrażona za posądzenie ją o kradzież krzyknęła ostro do żyda: Gdziem ich miała ukraść? albo to złodziejka? to są moje własne, com na pańskiem polu zarobiła! A na co sprzedajesz? Bo matusia chora leży nie, ma na lekarstwo, odpowiedziała i rozpłakała się, bo jej się zdawało, że żyd nie zechce kupić i wtedy chyba matusia umrze. Więc z płaczem, jęła go namawiać: Kupcie Moszku, dla swojej Ryfki — ona taka duża jak ja, a trzewiki, tylko dwa razy miałam na nogach — na świętego Michała i jakem do spowiedzi chodziła. Całkiem nowe. Tylko matusi nie powiadajcie. Żyd wiedział, że będą akurat dla jego córki, ale chciał ich tanio kupić, więc jej rzekł: Ryfka ma trzewiki, ale ja poczebuji miecz dobre serce, dam ci dwa złote, jak za nowe i nie powiem matuszi. Co mówicie Moszku? matusia dali sześć, dajcie choć połowę Moszku, zmiłujcie się, prosiła Hania, bo 2 złote nie wystarczą na lekarstwo i wino! A żyd zadowolony z dobrego interesu, wyjął ze szuflady 3 złote i dał uradowanej dziewczynce, która czemprędzej wybiegła z karczmy i prostą drogą przez las, szła w kierunku do miasta Miała więc pieniądze, a już, już byłaby rozmieniła! Na bufecie leżały takie białe bułeczki, rogalki, śledzie, a ona taka głodna! Ale gdyby sobie kupiła, nie wystarczyłoby na wszystko, więc szczęściem w porę się opamiętała i dla tego prędko wybiegła, nie oglądając się za siebie, ażeby jej nie skusiło. Ach! jaka ona głodna! Na dworze panował już zmrok, lecz w lesie całkiem było ciemno, ale za to cieplej, jak na polu, więc przyspieszała kroku. Żeby choć zdążyła, nim zamkną aptekę. Straszno jej trochę, więc zaczęła odmawiać modlitwę, wtem bęc! upadła jak długa, potknąwszy się o jakiś niewidzialny pień! Czyżby zabłądziła? ale nie — wstała, rozgląda się, nie, jest przecież na dobrej drodze, ale o zgrozo! pieniądze wypadły jej z ręki. Boże, mój Boże, cóż ja nieszczęsna teraz zrobię, jak ich znajdę, przy takiej ciemności! Uklękła i zaczyna szukać. Było 3 sztuki pamięta — rękami wodzi po trawie naokoło, nie ma — może dalej się potoczyły? Sunie się więc na kolanach dalej i tu i tam i płacze głośno biedaczka! Lecz wszystko na nic — pieniędzy nie ma. Darmo poświęciła trzewiki matusia na pewno umrze, więc chyba siądzie pod drzewem i sama umrze. Drżąc z zimna, głośno narzeka: Oj! matusiu moje biedna, cóż ja wam poradzę, już my przepadniemy obydwie. O ja nieszczęśliwa, Boże zmiłuj się! I nagle, jakby zapo-

wiedź zmiłowania Bożego, usłyszała głośne prr.. i wóz jakiś zatrzymał się przed nią, którego lamentując głośno, nie dosłyszała. Z wozu odezwał się głos: kto tu tak płacze i czego? A to ja Hania, zgubiłam pięniądze na lekarstwo dla matusi i nie znalazłam odpowiedziała. Czekaj, poświecę ci, rzekł ten sam człowiek, schodząc z woza a zapaliwszy małą latarkę, oświetlił najpierw ją, poczem, skierowawszy światło na trawę wodząc niem naokoło, nawiązał rozmowę z dziewczynką, To twoja matka chora leży, kiedy ty wybrałaś się po lekarstwo dla niej? a czemuż kto inny nie poszedł, tatusia nie masz to? Tatuś w Ameryce, odpowiedziała płaczliwie — już 7 lat jak pojechał, byłam wtedy mała. Obcego, jakby coś tknęło — przerwał szukanie a zwracając się ze światłem do dziewczynki zapytał prędko: jak ci na imię, bo zapomniałem? Hania, brzmiała odpowiedź. A nazwisko? Mrówka Obcy wypuścił latarkę z ręki, a chwyciwszy dziewczynkę tulił w objęciu i całował, mówiąc miękko do niej. Ja jestem twoim tatusiem, wracam właśnie do domu — chciałem zanocować w miasteczku, bom strasznie zmęczony ale serce nie dało mi spokoju. Nająłem konie, no i Bogu dzięki, żeś płakała głośno, inaczej, kto wie, jakby się było skończyło! Panie Icku, zwrócił się do woźnicy wracamy do apteki, zapłacę za fatygę. I usadowiwszy uszczęśliwioną Hanię, otulił ją własnem futrem, a gdy konie ruszyły wypytywał o matusię, o wszystkich znajomych, o wszystko. Dziewczyna opowiadała jeszcze, gdy znaleźli się w miasteczku, przed apteką. Kupili chininy którą poradził aptekarz, wysłuchawszy opisu choroby i ojciec Hani, dowiedziawszy się, że w chatce bieda okrutna, wstąpił do piekarza i rzeźnika, a nakupiwszy dosyć żywności, nie zapomniał i o winie dla chorej. Po drodze zatrzymali się aby odszukać owe 3 złote, a znalazłszy je w rowie, wrócili prosto do domu. Cóż to za radość była w tej chatce biednej! Czego ten tatuś nie przywiózł z Ameryki. I trzewiki śliczne, jakich nawet Kasia kołodziejowej nie ma i korale i chusteczkę jedwabną i tyle i tyle różnych rzeczy! To też Hania zapomniała, że niedawno miała się za dorosłą prawie i podskakiwała radośnie i co chwila całowała ręce, raz matusi, raz tatusiowi. A mama, dowiedziawszy się od ojca, o ofierze, jaką Hania zrobiła ze swoich trzewików na lekarstwo dla niej, ucałowała ją serdecznie i rzekła: Nagrodził ci Pan Bóg twoje poczciwe serduszko, zesłaniem tatusia! Bądź taką poczciwą zawsze, a z pewnością i w każdej potrzebie Pan Bóg ci pomoże.

Odleciały...

Odleciały z pól, lasów i gajów,
Śpiewne ptaszki do słonecznych krajów,
Wypędził je za morza mróz siwy,
I mgła smętna, co otula niwy,

Jak ptaszkowie owi polni, leśni,
Odleciały z serca mego pieśni,
Na skrzydłach, przesmutnej tęsknoty,
Gdzie mej wiosny raj słoneczno złoty...

Gdy ptaszkowie znów powrócą z wiosną,
Z tą królewną cudną, przerozkoszną,
Co okwieci miedze, łąk kobierce,
Wrócą piosnki ptaszyny w me serce?

Wrócą, jeśli żywe.. je zastaną,
Zaśpiewają znów w majowe rano,
Jak skowronki i te ptaszki w borze,
Tobie wiosko, świecić, Tobie Boże!

Zboże.

Cicho było, ciepło i spokojnie.. Las spał.. Czasem tylko wietrzyk poruszał lekko konarami drzew odwiecznych. Blade i tajemnicze światło księżyca ślizgało się po konarach stuletniego dębu i zalewało blaskiem małą polankę. Strumyk szemrał cicho, tocząc srebrzyste wody między krzewami.

Spokój panował w całej naturze i tylko słowiki śpiewały w gęstwinie. Była to pełna ciszy i piękna noc.

Mała niezapominajka podniosła główkę i szepnęła:

— Czyż można spać, a nie podziwiać natury?

Szept jej, lubo cichy, dosłyszała rumiana, wtulona w mech poziomka. I ona spać nie mogła, więc zaczęły się przyjacielskie zwierzenia.

— Czego pragniesz najwięcej, poziomko?—spytała niezapominajka. — Opowiedz mi, jakiem jest twoje marzenie?

— Pamiętasz zapewne — zaczęła poziomka — ten wieczór majowy, gdy dwie małe dziewczynki, siedząc tuż koło nas, rozmawiały ze sobą? Jedna z nich, patrząc na moje liście mówiła:

—Jakżebym chciała, żeby poziomki jaknajprędzej dojrzały. Zarazbym je uzbierała dla chorej siostrzyczki.

I zaczęła opowiadać swej towarzyszce o tej biednej malutkiej, a ja tak żałowałam, że mnie jeszcze zerwać nie mogła: tak chciałabym zrobić przyjemności tej dziewczynce i zobaczyć ją; to jest moje największe marzenie...

— Zapomniałaś, poziomko, o innej części rozmowy dziewczynek. Czy nie przypominasz sobie tego cudnego podania, które jedna dziewczyna opowiadała drugiej?

— Nawet nie wiem, o co chodzi—odrzekła poziomka—proszę cię, opowiedz mi to, taka jestem ciekawa, o czem rozmawiały.

I niezapominajka zaczęła:

— Kiedy pan Jezus był jeszcze dziecięciem i mieszkał w Egipcie, żadne zboże nie dojrzewało, tylko rosło dziko, jak chwasty, było zawsze zielone i na nic się ludziom nie przydawało.

Pewnego dnia Dzieciątko Jezus siedziało przy łanie takiego wiecznie niedojrzałego zboża i, oparłszy główkę na rączce, myślało, na co Bóg stworzył zboże?

Różne myśli przychodziły Jezuskowi. Wreszcie poważna twarzyczka rozjaśniła się i zawołał:

— A gdyby zboże, zamieniając barwę przyniosło korzyść ludziom?

— Dobrze, niech zmieni kolor, dorzuciło po chwilowej zadumie Dzieciątko,—ale na jaki? Może zrobić zboże błękitne? Trudno, by miało taką barwę jak niebo Czerwone?—Wzdrygnęło się serce Jezusa wyglądałoby to, jak morze krwi. Białe? Przypominałoby śnieg. Coby tu wymyślić?

Dzieciątko Jezus podniosło główkę i ujrzało białego gołąbka, ozłoconego promieniami słońca.

— Złote? Niech będzie złote — zawołał Jezus radośnie.

I złożywszy pobożnie rączki, uklękło i zaczęło się modlić

— O, dobry Boże, spraw, by zboże przybrało złotą barwę i przyniosło pożytek ludziom; spraw to Ojcze, dla nich, bo ja ich tak miłuję!

Podczas tej modlitwy, o cudzie! łany zboża stały się złote, a z nieba dał się słyszeć głos Boży:

— Tak samo co rok pod wpływem słońca zboże wyglądać będzie i stanie się najpożyteczniejszą rośliną, która ochroni ludzkie plemię od głodu.

Jezus, wraz z Najświętszą Panną, uczyli ludzi zbierać z pola plony i tylko dzięki Chrystusowi cała ludzkość uwolniona jest od głodu.

—A teraz poziomko—dodała niezapominajka—czy wiesz, jakiem jest moje marzenie? Oto zobaczyć przynajmniej wizerunek Tego, który tak umiłował ludzi.

I kwiatek umilkł, marząc o tem szczęściu, a poziomka długo myślała o cudnej legendzie, zaopatrzona w purpurowo wschodzące słońce.

Tegoż dnia jeszcze, te same dziewczynki przyszły do lasu po kwiaty i poziomki i obie nasze znajome zostały zerwane.

Pioziomka chwilę tylko patrzyła na radość chorego dziecka, a niezapominajka, wykopana wraz z korzeniem, stoi w doniczce przed obrazem Tego, co przecierpiał za cały ród ludzki.

Kotka z Łozowatej.

Do matki w grobie.

Matko ma w grobie—ubogi sierota
Nie uczciłem Cię spiżowym krzyżykiem
Jam na Twym grobie sam żywym pomnikiem
Wciąż na nim klęczy mój żal i tęsknota...

Sieroca skarga, dziecęca pieszczota,
Wciąż mówi do Cię, Matko pod trawnikiem
Bo jako Tobie, na tym świecie z nikim
Mówić nie może, skarg mego żywota.

Odkąd Twe serce już żywe nie bije,
W żalu, tęsknocie, do Cię Matko żyje,
Nikt mię nie kocha, ani błogosławi,
Twojego syna, Matko na tym świecie,
Nikt ran nie koi, ni łez, gdy Twe dziecię
Niedolą, bólem krwawiącym się łzawi.

Cenzurowany.

Jest to staropolska zajmującą gra towarzyska, która już to samo jako gra, już to przez sadzenie fantów — jako pokuta, chętnie bywa w wesołych towarzystwach stosowaną.

Polega na tem:

Z towarzystwa złożonego z kilku lub kilkunastu osób (im więcej tem lepiej) zostaje za pomocą losowania lub głosowania, wybrana pierwszą osobą na „cenzurowanego“.

Następnie ktoś, kto się podejmuje pośrednictwa, obchodzi kolejno wszystkie osoby obecne, z których każda po cichu mówi coś o osobie cenzurowanej (jej wady lub zalety).

Pośrednik — zebrawszy opinje od wszystkich uczestników i sam obmyśliwszy sobie również jakieś zdanie o dotyczącej cenzurowanej osobie staje przed nią i wygłosiwszy następującą formułkę:

„Zwiedzałem rożne miasta i kraje — słyszałem o tobie (pani, panu) złe i dobre obyczaje!... Pierwsza osoba powiedziała że... i tu pośrednik wymienia dowolnym porządku zdanie i opinję każdego z poszczególnych uczestników zabawy, nie pomijając swego zdania.

Rozumie się jednak samo przez się, że nie wymienia osób od których pojedyńcze owe zdania pochodzą. Osoba siedząca „na cenzurowanem“, wybiera jedno ze zdań wygłoszonych przez pośrednika, osoba zaś, ktora właśnie je objawiła — zasiada z kolei na miejscu cenzurowanego a cenzurowana przyjmuje rolę pośrednika — i zabawa się na nowo rozpoczyna.

Figliki.

Trudno znaleźć młodego lekarza, któryby chciał ładną pacjentkę uleczyć od..... choroby serca.

* * *

— Serwus, Antek!
— Złam nogę.
— Cóżeś tak skrzywiony?
— Ot czasy.
— Co? Pech miałeś?
— A niech pierony.
— Gadejże.
— Stał ci facet, taki fajn panisko...
— I co...
— Tak co? Zachodzę mu ostrożnie, blisko, wsadzam ci łapę do kieszeni...
— A w kieszeni dziura..
— Gdybyż to. Dzisiaj człowiek mało gdzie co wskóra.
— No więc?
— Facet ci jucha z okazji korzysta i ściąga mi pierścień z palca.
— Aj do trzysta! A to czasy.
— Coraz lepsze...
— Ha no. Jest nadzieja, że władza przed „panami“ będzie strzedz — złodzieja.

* * *

Wzorowe rymy.

I.

— Ja Mańkę kocham! pan nie
Nikt się nie kocha w Annie pannie?
Pan się zakochał zda się w Jagnie,
Lecz ona w panu, jak nie?
Wie pan że Jagoa ninie,
Swej koleżance Ninie,
Mówi że pan ma długi...
Robiąc je przez czas długi:
Na wódkę, karty, wino
Ze to jest twoją winą.
Jagna nie dla cię towar,
Bo jej namiętność to war!
Choć silna twa natura,
Ze mógłbyś iść na tura!
To ja ci radzę ninie,
Kochaj się w pannie Ninie.

II.

Mówi do Jana Tomasz:
— Jak chcesz dowodu to masz;
Teściowa stara piła,
Na twoją skórę piła!
Pił z nią konkurent twój Jakóbek
Wypiłem z nimi i ja kubek,
Wiem dobrze co się święci
I wiedzą wszyscy święci!
Nie śmiej się, nie mów ba, ba,
Bo ci na zdradzie baba!

* * *

Mądra żona nie będzie nigdy przypominać mężowi tego, co on jej mówił, gdy się starał o rękę.

* * *

Nie ma drugiej.

Nie ma drugiej kochaneczki, jak Kasia pieszczotka,
Smaruje se gębę miodem, by mi była słodka.

* * *

Łzy.

Różna łza w oczach ludzi bywa,
Wesoła, sztuczna i prawdziwa.

* * *

Myśl.

Nie sztuka poskramiać żądzę
Gdy nie dopiszą pieniądze.

Zysk.

Prosił Kaśki tak i siak,
O całusa, bo miał smak;
A Kaśka mu dała w pysk,
To był jego cały zysk!

* * *

Dla rymu.

Kto się nie kocha w panu Rochu,
Ten nie wart nawet ziarnka grochu.

* * *

Tak zwykle bywa.

— Gdy mi odmówisz rączki, życie swoje zgubię,
Bo cię kocham wiecznie, a więc daj mi słówko,
Tak mówił przed ślubem, niestety po ślubie,
Jego wieczna miłość, była jedno dniówką..

* * *

Nagrobek.

Nieboszczyk groszem rządził się rozumnie.
Za to też leży w metalowej trumnie.

* * *

Racja.

Chłop pragnie mieć ręce zdrowe,
Śpiewak dobry głos,
Za uczony tęgą głowę,
Jak zaś czujny nos.
Bo w dzisiejszych ciężkich czasach,
W walce ze złym losem,
Tylko na wierzch dobywa się,
Człowiek z czujnym nosem.

* * *

Pies i kapelusz damski.

Szczekał piesek pokojowy,
Pewnego zarania,
Na kapelusz modny damski
Że wielki jak bania.
Gdy tak szczeka, rzekł kapelusz,
Gniewu twego szkoda,
Dziś lub jutro to jest pewne,
Znów się zmieni moda.

* * *

Na kobiety.

Gdyby wszystkie ciekaweczki w sól się przemieniły tak jak żona Lotta, toby sól mocno staniała, bo każdy miałby w domu Wieliczkę.

* * *

Wybór żony.

Tak o jednej i drugiej mówisz mi z pochwałą,
Lecz nie wiesz, którą pojąć czy wielką, czy małą.
Weź małą, tak ci radzi moja przyjaźń szczera,
Bo z dwojga złego, zwykle mniejsze się wybiera.

* * *

Na astronoma.

Piotr, który niegdyś gwiazdy liczył na miljony,
Dziś trzech zliczyć nie umie wobec własnej żony.

Rozmaitości.

Kobieta — wampir. W mieście Guatemala, stolicy rzeczypospolitej tejże nazwy, na kilka lat przed wybuchem wojny światowej, powstał nowy hotelik, nazwany „Indra. Dzięki nieznanemu w tym kraju wykwintowi i niezmiernej czystości, hotel zjednał sobie licznych gości pośród kupców amerykańskich, jacą zjeżdżają tu dla zakupu miejscowych towarów, główy nie kauczuku. Założycielką pensjonatu była młoda, śniada kobieta Indra Voitu, mienięca się metyską ze Stanów Zjednoczonych. Była to kobieta o gładkich manierach, zdradzających obycie się w lepszem towarzystwie. Odznaczała się pracowitością, posunięta aż do przesady. Zwróciło ogólną uwagę, iż prowadząc kuchnię dla gości, trzymała u siebie służbę w godzinach od rana do zmroku. Wieczorem kucharka i dwie posługaczki po ukończeniu pracy, szły na nocleg do swoich mieszkań w mieście, w hotelu zaś zostawał jeden jedyny odźwierny, sługa i posłaniec w jednej osobie, stary czarnoskóry Jim, którego przywiozła ze sobą z kontynentu. Goście, prawie wyłącznie młodzi wysłańcy firm amerykańskich, zmęczeni pracą całodzienną, wcześnie kładli się na spoczynek, tembardziej że miasto ubogie w rozrywki nocne nie pociągało ich do siebie. W hotelu „Indra", złożonego z kilku pokoików, rzadko kiedy przybywało, więcej niż dwóch lub trzech gości, najczęściej bywał jeden. Od pewnego czasu hotel nabierał dziwnej opinji. Ci i owi goście po przebudzeniu się z rana, narzakeli na ogólny upadek sił bóle głowy i szum w uszach. Lekarze miejscowi nie byli w możności odgadnąć przyczyn wyraźnych oznak osłabienia pacjentów. Położenie miasta jest naogół zdrowe, a hotel znajdował się w wyjątkowych warunkach. Pomiędzy gośćmi nie zdarzali się Europejczycy nie przyzwyczajeni do klimatu Południowej Ameryki. Dr. Sande, zdolny, chociaż lekarz początkujący w ciągu roku miał w praktyce aż kilku pacjentów z zupełnie zbliżonymi objawami. To go zastanowiło i postanowił rzecz tę zbadać o ile możności. Hotel „Indra" stał pośrodku ogrodu, ukryty w gąszczu drzew i krzewów. Doktor zamieszkały w niedalekiem sąsiedztwie, czynił spóźnione wycieczki w tamtą stronę. Musiał coś zauważyć skoro pewnego dnia odwiedził dyrektora policji i miał z nim dłuższą konferencję. Następstwa tych obrad naprowadziły na odkrycie, które zaalarmowało opinję miasta. Pani Indra Viotu znalazła się w areszcie, a jej hotel opieczętowano. Wywiadowcy policyjni w ciągu szeregu zabiegów, wykryli rzecz niesłychaną. Młoda hotelarka posiadała instynkty wampira. Skoro upatrzyła odpowiednią dla siebie ofiarę dawała mu na wieczerzę środek nasenny. Gdy gość zasnął, okrutna kobieta odwiedzała jego sypialnię i przy pomocy pompki chirurgicznej krew z niego wytaczała używając jej za napój. Słuszność podejrzeń została stwierdzoną po oględzinach ofiar jej wampirowych instynktów. U kilku jej byłych gości na arterjach szyi odnaleziono ledwie dostrzegalne ślady nakłócia niesłychanie ostrym i cienkim wylotem pompki.

Potworna kobieta w końcu przyznała się do wszystkiego i jedynie nie umiała wyjaśnić przyczyn tych popędów krwawych i nieludzkich. Lecz i ta zagadka w końcu została rozwiązaną. Dalsze badania doprowadziły do wykrycia, że wyjątkowy ten okaz w linji ojczystej miał przodków w Oceanji, gdzie ludożerstwo kwitło jeszcze przed kilkudziesięciu laty.

Czy nie amerykańska bujda? Studentki uniwersytetu w Nowym Jorku uchwaliły wyrzec się wszelkich środków sztucznego podnoszenia swej urody. Uchwała związku studentek w tej sprawie brzmi następująco:

Obowiązujemy się do skromnego ubierania się, do zaniechania sukien zbyt krótkich lub pozbawionych rękawów. Postanawiamy usunąć używanie kosmetyków, różu, pomadki do ust, ołówków do podkreślania oczu i pudru.

Studentki postanowiły również zaniechać na przyszłość żucia gumy i palenia papierosów

---

Redaktor odpowiedzialny: Czesław Nowakowski
Drukiem i nakładem Drukarni „Dziennika Pomorskiego"
w Chojnicach.